



16 Koalicyjna telenowela



28 Szpitalny zawał



62
-71 Raport specjalny na 50. rocznicę lądowania na Księżycu

Temat tygodnia

- 12 **Ukraińska kelnerka o swojej pracy w polskich hotelach**

Polityka

- 16 Malwina Dziedzic
Kto z kim w opozycji
- 19 Rafał Kalukin
Jak się przydziela miejsca na listach wyborczych
- 22 **Prof. Piotr Radkiewicz** o głębokim podziale naszej sceny politycznej
- 25 Antoni Dudek **OGLĄD I POGLĄD**
Scenariusze na jesień

Społeczeństwo

- 28 Agnieszka Sowa
Szpitalne bez lekarzy
- 31 Juliusz Ćwieluch
Dorsze coraz gorsze
- 34 Paweł Walewski
Wakacje na wózku

Rynek

- 38 Jak schłodzić miejskie betonowe pustynie, mówi architekt
Leszek Wiśniewski
- 41 Adam Grzeszak
Wojna wódki z piwem
- 44 Łukasz Wójcik **Christine Lagarde, nowa szefowa Europejskiego Banku Centralnego**

Świat

- 46 Radosław Korzycki USA
Powracający temat: odszkodowania za niewolnictwo
- 50 Aleksandra Lipczak NIEMCY
Sztuka wojująca
- 53 Agnieszka Zagner EMIRATY
Ucieczki księżniczek

Historia

- 56 Edwin Bendyk
Manifest lipcowy 1944: fakty i mit
- 59 Anna Czarniecka
Oponenti Sobieskiego

Nauka

- 62 **Dwie strony Księżyca**
- 64 Marcin Rotkiewicz
Powrót na Srebrny Glob
- 66 Marcin Rotkiewicz
Czwarty, nieludzki pasażer Apollo
- 68 Agnieszka Krzemińska
Antyczna kosmogonia
- 70 Karol Jałochowski
Futuryści i wizjonerzy

Ludzie i style

- 72 Aleksandra Żelazińska
Instagram się zbroi

- 75 Aleksandra Kozłowska
Poszukiwacze ciemnego nieba

Kultura

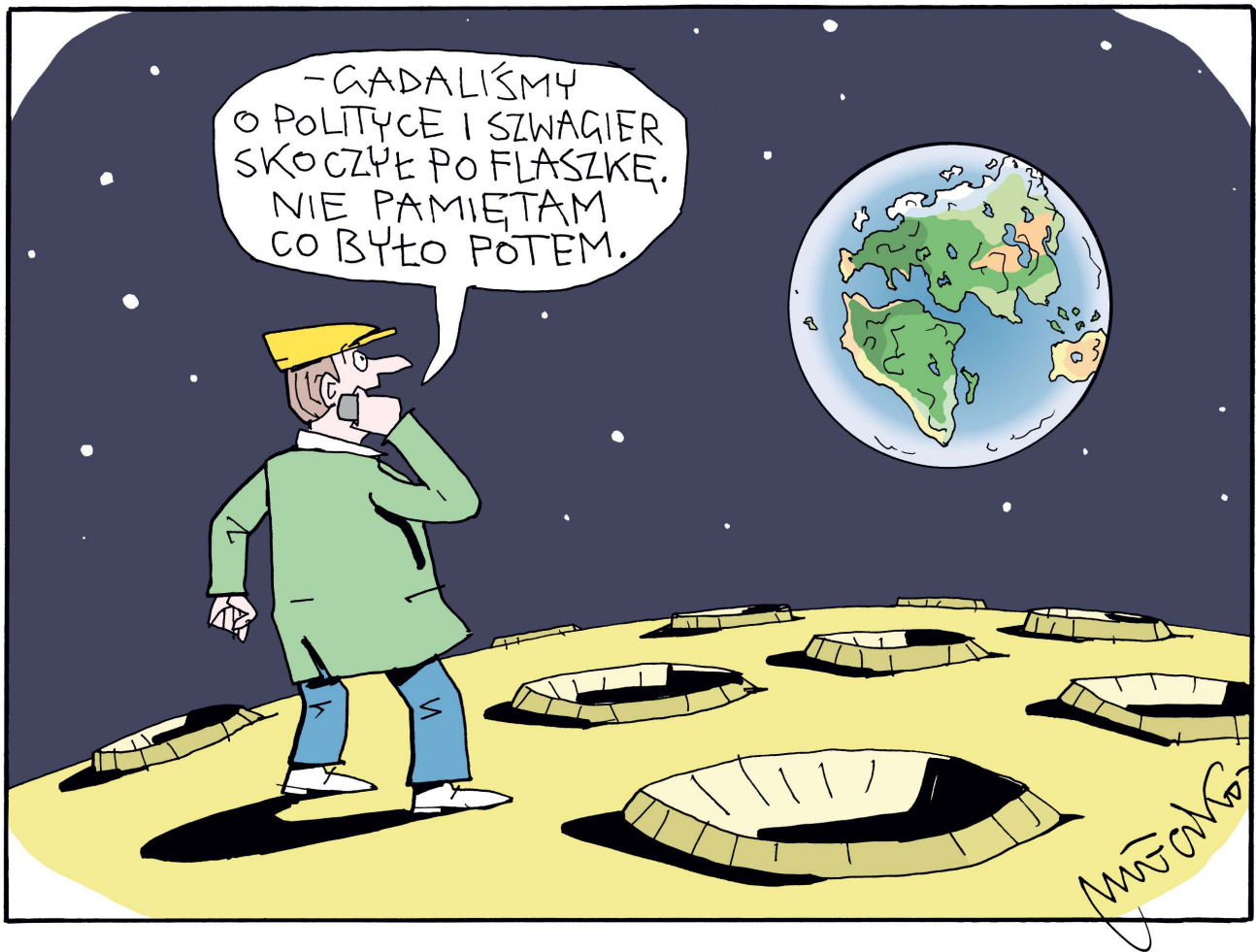
- 82 Bartek Chaciński **Łódź: wylęgarnia muzycznych oryginałów**
- 85 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**
- 86 Rozmowa z **Asifem Kapadią**, autorem dokumentu „Diego”, o argentyńskiej legendzie światowego futbolu
- 88 Jan Rojewski **Co przyniesie rok Tyrmanda**
- 91 Urszula Schwarzenberg-Czerna
Nowe szaty „Króla Lwa”

Na własne oczy

- 100 Katarzyna Czarnecka
fotografie Jakub Ostalowski
Coraz więcej pań sołtysek

Stałe rubryki

- 4 Mleczek i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 78 Afisz
- 94 Chutnik i Plebanek
- 95 Passent
- 96 Hartman
- 97 Tym
- 98 Do i od redakcji
- 99 Mizerski na bis
- 106 Polityka i obyczaje



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Nieprzebrane zasoby dobra

Chcę zaprotestować przeciwko decyzji wiceministra Andrzeja Stanisławka o zdymisjonowaniu się za publicznie wyrażoną sugestią, aby uczniowie, dla których nie znajduje się miejsca w polskiej szkole, poszukali sobie szkoły za granicą. Uważam, że wyciąganie przez Stanisławka tak ostrych konsekwencji wobec siebie jest nie na miejscu, bo wiadomo, że uczniów jest w Polsce za dużo nie z winy wiceministra Stanisławka czy minister Zalewskiej, tylko Platformy Obywatelskiej, która przez osiem lat rządów niczego w tym temacie nie zrobiła. Trudno mieć do Stanisławka pretensje, że wiedząc, iż w Polsce szkół brakuje, chciał nadwyżkę uczniów upchnąć za granicą, korzystając z faktu, że w innych krajach szkoły jescze są i można się do nich zapisać. Na konwencji w Katowicach prezes PiS wydał walkę siłom zła w imieniu reprezentowanych przez siebie sił dobra, a wiadomo, że dla każdego dziecka największym dobrem jest możliwość kształcenia się – jeśli trzeba, to i za granicą. Niektórym rodzicom taka opcja może się wydać kłopotliwa ze względu na problemy komunikacyjne, ale dzięki złożonej przez prezesa PiS obietnicy przywrócenia setek lokalnych połączeń PKS jest szansa, że wkrótce polscy uczniowie będą mogli dojechać do szkół w Europie z każdej wsi i małego miasteczka.



Prezes zapewnia, że „zasobów na świecie jest wiele, pieniądź jest tani, grzechem byłoby z tego nie skorzystać”, dlatego popieram koncepcję, aby ci Polacy, którym zasoby naszego państwa nie wystarczają, korzystali z zasobów innych państw. Program 500+ i inne transfery socjalne sprawiły, że Polaków wreszcie stać na wyjazdy z Polski do pracy, szkoły czy do szpitala. Polscy pacjenci już chętnie wybierają się do zagranicznych szpitali na zabiegi medyczne, na które w kraju czekali by 10 albo 30 lat, a w tych szpitalach spotykają wielu polskich lekarzy oraz wiele polskich pielęgniarek, które zdążyły wyjechać wcześniej. Niewykluczone, że niedługo dołączą do nich również osoby poszukujące leków na cukrzycę, nadciśnienie, astmę, choroby tarczycy oraz szczepionek przeciwko odrze, wściekliznie i żółtaczkę, których nie można kupić w naszych aptekach.

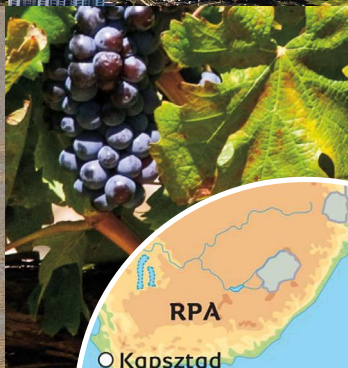
Rząd myśli również o ułatwieniach dla osób niepełnosprawnych, którym życie w Polsce rządzonej przez niego sprawia szczególne duże problemy. Rząd ma nadzieję, że po uchwaleniu przez Sejm programu pomocy finansowej dla tych osób dadzą one radę wraz ze swoimi opiekunami opuścić kraj, dzięki czemu jesienią nie będą musiały brać udziału w zapowiadanych przez siebie, męczących fizycznie i psychicznie protestach.



Oceny polskich klientów 5/5 ★★★★★



Nowość



10 dni 5998zł

Kapsztad Afrykański raj

Wybierz się z nami do Południowej Afryki, posmakuj najwspanialszych win świata i doskonałego jedzenia, rozkoszuj się pięknymi plażami i cudownymi krajobrazami!

➔ Wylot z Warszawy: 09/03 2020

Podziwiał widoki z Góry Stołowej i popłynij z nami w rejs pozwalający zobaczyć Kapsztad od strony oceanu. Podczas wycieczki na Przylądek Dobrej Nadziei zobacz foki wylegające się na skałach oraz miejsce, gdzie wody Oceanu Atlantyckiego spotykają się z Oceanem Indyjskim, tworząc wyraźną linię. Będzie też okazja do degustacji wyśmienitych win w autentycznych winnicach o 300-letniej tradycji w otoczeniu pięknej przyrody. To miejsce jest rajem nie tylko dla wielbicieli dobrej kuchni i wina, ale także dla miłośników przyrody i kultury. Kapsztad zachwyca turystów od lat, więc daj się uwieść jego nieodpartemu urokowi.



10 dni od 8698zł

Hotele 4* i 5*
3 posiłki
dziennie

Klejnot Imperium

➔ Wylot z Warszawy: 28/12 2019 Nowy Rok!

W trakcie wycieczki zwiedzimy tzw. Złoty Trójkąt, czyli historyczno-kulturowy obszar położony między miastami New Delhi, Jaipur i Agra w północno-zachodniej części Indii. Zobaczymy dawne forty, tętniące życiem bazy, przepiękne pałace i wioski, gdzie ludność żyje w sposób niezmienny od wieków. Odwiedzimy Rezerwat Tygrysów w Parku Narodowym Ranthambore, gdzie przy odrobinie szczęścia zobaczymy tygrysa bengalskiego. Następnie zwiedzimy Taj Mahal, majestatyczny i piękny symbol wiecznej miłości. W drodze do Agry zatrzymamy się w Opuszczonym Mieście Fatehpur Sikri wpisanym na listę Światowego Dziedzictwa UNESCO.



8 dni 4998zł



Malta i Gozo - śladami Rycerzy Maltańskich

Hotel 4*
2 posiłki
dziennie

➔ Wylot: 14/09 2019

Program wycieczki: Dz 1. Wylot z Warszawy do Valletty. Dz 2. Wycieczka po Valletcie (UNESCO). Katedra św. Jana i Pałac Wielkiego Mistrza. Prom na Cospicue i zwiedzanie zabytkowego miasta Vittoriosa. Dz 3. Megalityczna świątynia Hagar Qim, Błękitna Grota i miasteczko rybackie Marsaxlokk. Dz 4. Kościół w mieście Mosta. Grota św. Pawła, Mdina, lokalne maltańskie rękodzieło i Ogrody San Anton. Dz 5. Dzień wolny. Dz 6. Wyjazd na wyspę Gozo. Cytadela w Victorii, Dwejra i zatoka Xlendi. Dz 7. Czas wolny. Popołudniu wizyta w miasteczku Mqabba. Wizyta w dawnym szpitalu Joannitów, degustacja miodów i serów. Dz 8. Lot powrotny do Warszawy.

Szóstką w piątkę



Jerzy Baczyński

Opozycja wreszcie przerwała milczenie. Platforma Obywatelska, występująca pod szyldem Koalicji Obywatelskiej, ogłosiła główne punkty programu wyborczego nazwane „szóstką Schetyny”. Niektóre brzmią ogólnikowo (np. te dotyczące służby zdrowia), inne wymagają doprecyzowania i wyjaśnień (choćby plan podwyżek najniższych wynagrodzeń), ale jak na formację, o której przed tygodniem PiS mówił jak o politycznym zombie, KO nieoczekiwanie wymierzyła władzy kilka bardzo celnych i ciężkich ciosów. Efekt zaskoczenia po stronie obozu rządzącego był aż nadto widoczny: tuż po wystąpieniu Grzegorza Schetyny głos zabrał Jarosław Kaczyński, przedstawiając partyjne „jedynki”, co zapewne miało medialnie przykryć Forum KO. Prezes PiS był jednak wyraźnie skonsternowany, ograniczył się do odczytania jakichś w połowie nierozpoznawalnych nazwisk, nie odnosząc się ani słowem, ani aluzją, ani jedną insynuacją do programu opozycji. Zupełnie nie w jego stylu. Zatkąło także zwykle sprawną maszynę propagandową PiS: poza rutynową kpinią rzeczniczki partii nie było reakcji, polemiki; zdaje się, że wciąż trwa poszukiwanie odpowiedniej odpowiedzi.

Przede wszystkim podważona została lansowana przez PiS teza, że opozycja nie ma żadnego planu, pomysłu, programu. No więc już ma. Co więcej, teraz to opozycja przejmuje inicjatywę, bo od czasu „piątki Kaczyńskiego” PiS właściwie niczego nowego nie zaproponował. Wypowiedzi premiera Morawieckiego w Katowicach sugerowały jedynie, że partia do końca sierpnia przedstawi jakieś plany dotyczące poprawy służby zdrowia, walki ze smogiem, wsparcia dla młodzieży i seniorów. Tymczasem wszystkie te obszary zostały już przez PO/KO wskazane jako własne pole programowe i zajęte mniej lub bardziej konkretnymi propozycjami. Cokolwiek teraz władza ogłosi, będzie zmuszona, otwarcie lub pośrednio, wejść w polemikę z planami i deklaracjami opozycji. A to bardzo niekomfortowa sytuacja, bo do tej pory rządzący znajdowali się w sytuacji monopolu narracyjnego. Po raz pierwszy od trzech lat to opozycja wybrała, i to bardzo niedogodne dla PiS, punkty starcia. KO zamierza bowiem atakować władzę oskarżeniami o doprowadzenie do ciężkiej „choroby państwa”, wskazując, obszar po obszarze, zaniedbania, błędy, niekompetencję i prywatę partyjnych nominatów. A tu przykładów jest pod dostatkiem i każdy dzień przynosi następne.

Ztego punktu widzenia priorytety programowe zostały dobrze zwytypowane. Praworzędność, służba zdrowia, polityka senioralna, oświata, ochrona środowiska to tematy, którymi można do woli grillować PiS. Jednocześnie „szóstka Schetyny” jest niezłą propagandową odpowiedzią na „piątkę Kaczyńskiego”. Przypomnijmy, że propozycje PiS obejmowały 500 zł na każde dziecko, obniżkę pierwszego progu PIT i likwidację PIT dla młodych, 13. emeryturę oraz – na doczepkę – autobusy lokalne. Potem jeszcze doszła tzw. świnia plus. Cały ten program ogranicza się niemal wyłącznie do bezpośrednich transferów pieniężnych. Opozycji łatwo będzie wykazać, że wypląty – w sumie najprostsze, co każdy rząd może zrobić – zastąpiły politykę państwa. A jeśli już podejmowane były przedsięwzięcia zwane reformami, to okazywały się nieporadne, destrukcyjne, chaotyczne, jak w oświacie, wojsku, dyplomacji,

energetyce, wymiarze sprawiedliwości itd. PO deklarując, że „nic, co zostało dane, nie będzie odebrane”, zaoferowała więc wyborcom swoisty program „PiS plus”. To znaczy: nie ruszymy „piątki”, bo to prawa nabyte, a dodajemy „szóstkę” i jeszcze dużo więcej, jeśli chodzi o poprawę jakości państwa. W ten sposób „morderczy dla opozycji” plan Kaczyńskiego zostaje otoczony – ostatnio to modne określenie – kordonem sanitarnym. Cokolwiek jeszcze „PiS da”, da to również opozycja, ale ona da to, czego PiS dać nie może i nie potrafi – czyli „uzdrowienie” usług i instytucji publicznych. Takie jest główne przesłanie. W konkurencji na wiarygodność to od razu wyrównuje szanse: KO rzeczywiście nie ma wielkiej wiarygodności jako „dawca pieniędzy”, za to PiS nie ma żadnej wiarygodności w reformowaniu, realnej naprawie państwa.

Rozsądna jest też polityczna lokalizacja programu KO. Ma on wyraźnie charakter centrolewicowy czy raczej socjalliberalny. To oznacza zwrot, bo jeszcze niedawno Grzegorz Schetyna mówił o konieczności utrzymania konserwatywnej polityki PO, jej chadeckiego, centroprawicowego, ludowego charakteru. Ale teraz PO chyba inaczej odczytuje naturę naszych politycznych podziałów. Proszę przeczytać w tym wydaniu POLITYKI wywiad z prof. Piotrem Radkiewiczem: liczne badania i analizy potwierdzają istnienie w Polsce dwóch dominujących, trwałych, wielkich formacji mentalnych i ideowych – „komunitarnej”, wspólnotowej, oraz liberalnej, indywidualistycznej (szczegółowy opis na s. 22), obsługiwanych politycznie przez PiS i PO. Jeśli tak jest, Schetyna robi słusznie, rezygnując z odbijania wyborców PiS i opuszczając terytorium przeciwnika. Słusznie też KO proponuje program na tyle szeroki i wolny od radykalizmu, aby zmieściły się pod nim wszystkie formacje „liberalne”, niepisowskie. Światopoglądowe, zwykle najbardziej kontrowersyjne punkty programu (tu: poparcie dla związków partnerskich, in vitro, obowiązek szczepień, przywrócenie handlu w niedzielę) mają dziś tak znaczne poparcie społeczne, że nie stanowią ryzyka wyborczego. Więc ogłoszony program może być również dobrze podbudową szerszej koalicji, co ewentualnego samodzielnego wyborczego startu PO (polecam tekst o koalicyjnych układankach, s. 16).

Jest jeszcze jeden ważny przekaz „programu Schetyny”. Otóż KO wyraźnie zwraca się do „pracujących”, a nie tylko, co zawsze eksponował PiS, do „potrzebujących”. Bonusy socjalne mają być związane z pracą (skłaniać do przedłużenia aktywności zawodowej, wychodzenia z szarej strefy itp.), a nie z samym faktem istnienia. Wielu komentatorów rzuciło się te pomysły krytykować, że populistyczne, i skąd będą pieniądze, lub że za mało populistyczne, zbyt skomplikowane i „konkretnej oferty PiS” nie przebiją. Ale kto wie? O pracujących, o podatnikach, przedsiębiorców, klasę średnią, fachowców („elity”), finansujących wyborcze prezenty PiS, rzeczywiście jakoś nikt się od trzech lat nie upominał. PO proponuje więc swoistą kontrrewolucję narracyjną. Ryzykowne to, ale wreszcie jest jakieś. Teraz trzeba zaglądać w sondaże.

Jan Koza



Walka o krzesła

Rządzący zafundowali młodzieży nerwowe wakacje i perspektywę jeszcze trudniejszego roku szkolnego.

Trwa rekrutacja do szkół średnich, w której bierze udział ponad dwa razy więcej uczniów niż zazwyczaj – przeszło 720 tys. absolwentów gimnazjów i ośmioklasowych podstawówek. To efekt reformy byłej już szefowej MEN, a dzisiaj europostanki PiS Anny Zalewskiej.

Po pierwszej turze rekrutacji bez pewnych miejsc w szkołach zostały tysiące uczniów. W Krakowie za pierwszym podejściem nie dostało się do żadnej szkoły ponad 2,5 tys. osób. To dwa duże licea. W Gdańsku – 1215 uczniów, w Szczecinie – 871, w Lublinie – 605, a w Zielonej Górze – 552. Wśród nich także ci najlepsi, z wyróżnieniami, nawet finaliści olimpiad, z wynikami, które jeszcze rok temu gwarantowały miejsce w wybranej szkole. W Warszawie, według wycień magistratu, po pierwszym naborze zabraknie miejsc dla 7 tys. spośród 47 tys. absolwentów gimnazjów i szkół podstawowych (rok temu kandydatów do szkół było „jedynie” 19 tys.). W pozostałych miastach wyniki zostaną ogłoszone w połowie miesiąca. Ci uczniowie, którzy nie dostali się do żadnej szkoły, muszą teraz czekać, aż przyjęci potwierdzą swój wybór i złożą dokumenty. Dopiero wtedy będzie wiadomo, ile miejsc jeszcze zostało. Rekrutacja uzupełniająca



© KRZYSZTOF MAZUR/AGENCJA GAZETA

rozpocznie się w połowie lipca i potrwa do końca sierpnia.

Tymczasem MEN pokazuje statystyki, z których wynika, że na wszystkich absolwentów szkół gimnazjalnych i podstawówek czekają miejsca w szkołach średnich. Najwyższa Izba Kontroli informowała jednak, że w aż ośmiu województwach miejsc jest mniej niż uczniów. W województwie wielkopolskim – o ponad 5 tys., pomorskim – o 4,2 tys., zachodniopomorskim – o 2,3 tys. Aż połowa uczniów planowała uczyć się w liceach, ale ze względu na nabór podwójnego rocznika od września będzie musiały kontynuować naukę w szkołach branżowych i technikach. I uczyć się zawodu, którego sobie nie wybrała.

Władza winę za zamieszanie w rekrutacji przerzuca na samorządy. Według nowego ministra edukacji Dariusza Piontowskiego miasta niepotrzebnie pozwoliły składać uczniom podania do

większej liczby szkół i klas niż wcześniej. Tak było m.in. w Warszawie, Krakowie czy Poznaniu. Zdecydowano się na to dlatego, żeby rozstrzygnąć rekrutację jak najszybciej i aby jak najwięcej młodych ludzi już w pierwszym terminie znalazło miejsce. System przyporządkowuje kandydata tylko do jednej szkoły, gdzie spełni kryterium punktowe, a więc nie ma możliwości, aby jedna osoba blokowała miejsce w kilku szkołach. Ale tego szef MEN nie wie lub woli nie wiedzieć.

Szkoły nie są z gumy. Przyjęcie do pierwszych klas dwóch roczników naraz będzie oznaczało konieczność organizowania w części szkół lekcji na dwie zmiany, ciasnotę w klasach, na korytarzach i w salach gimnastycznych (zaadaptowanych często do innych funkcji). I zagonionych nauczycieli, którzy będą musieli „wyrobić” pensum, prowadząc lekcje w kilku szkołach. Katastrofa w edukacji dopiero się zaczyna. (ASZ)

Leczenie infolinią

Są trzy powody, aby wątpić w zapewnienia ministra zdrowia, że rząd zaczął rozwiązywać problem braku leków w aptekach. Może być jeszcze gorzej.

Aptekarze twierdzą, że nie do dostania jest już 500 leków, w tym także te ratujące życie. Jeśli nawet, jak twierdzi minister Łukasz Szumowski, niektóre z nich już pojawiły się w hurtowniach, to nie znaczy, że problem zniknął. Przewlekłe choroby, m.in. na nadciśnienie, cukrzycę, choroby tarczycy, astmę, a nawet na nowotwory, mają kłopoty z ich nabyciem od miesięcy, a nawet od lat.

Diabetycy, których jest w kraju ponad 3 mln, nie są w stanie funkcjonować bez preparatów insulinowych, a stosowanie jednego, a w razie braku – innego, grozi niepożądanymi skutkami i jest niewskazane. Chory na nadciśnienie, któremu kardiolog dobrał stosowny lek, nie może zastępować go innym, w zależności

od tego, co udało mu się dostać, decyzji nie może podejmować też farmaceuta. Organizm chorego może reagować na nowy, zamienny specyfik zupełnie inaczej. Mimo to pacjenci wymuszają na lekarzach recepty od razu na kilka specyfików, także na zamienniki, zależy, co da się upolować i żeby mieć na zapas. Więc jeśli nawet niektóre leki się pojawiają, znikną z aptek natychmiast.

Polacy, nie mogąc wykupić niezbędnych leków, coraz częściej usiłują się w nie zaopatrywać w zagranicznych aptekach internetowych. Mimo ostrzeżeń, że są to zwykle specyfiki niewiadomego pochodzenia, z Indii albo Chin.

Żadna infolinia, którą Ministerstwo Zdrowia właśnie uruchomiło, tego nie rozwiąże. Wykreowano popyt większy niż faktyczne potrzeby pacjentów, nie do zaspokojenia. Bo braki dotyczą leków refundowanych, a NFZ nie może przekroczyć limitu środków przeznaczonych na refundację. Za to oszczędza, gdy chorzy nie mogą ich kupić.

Drugi powód zwątpienia w poprawę jest taki, że popyt na brakujące leki jest praktycznie nieograniczony, bo od

kilku lat nielegalnie wyjeżdżają one za granicę, gdzie są dwu- trzykrotnie droższe. Eksperci mówią głośno, jak można ten exodus leków z Polski zahamować, co udało się np. Hiszpanom. Ale rząd ich nie słucha, bo wiązałoby się to z podwyżką cen. Surowsze kary za wywóz (nawet do 10 lat więzienia) tego nie zmienią, więc organizatorzy nielegalnego eksportu będą leki wywozić nadal.

Rząd swoją nieudolność w sprawie zaopatrzenia w leki usprawiedliwia tym, że obecnie kłopoty ma cała Europa, a nawet świat. Przemysł farmaceutyczny uzależnił się bowiem od dostaw wielu substancji czynnych (to to, co leczy) z Chin, tam jest najtaniej, ale ostatnio dostawy przestają być pewne. Trzeba szukać innych kooperantów i niektórzy producenci, także polscy, ich znajdują. Kłopot w tym, że takie leki są nieco droższe. Więc nie trafią na listy refundacyjne. Ci, którzy o tym decydują, najwyraźniej boją się posądzenia o korupcję i wizyty CBA. To kolejny, trzeci powód, by zwątpić w poprawę.

JOANNA SOLSKA



Wojna i spokój

Zgodnie z jedną z tez, które krążą po mediach, KE przegrała w europejskich wyborach, ponieważ dała sobie narzucić gorące tematy wojny kulturowej – aborcję, pedofilię i gender – na które nie potrafiła odpowiedzieć innym językiem.

To po części prawda; Koalicja wmanewrowana w spory stawiające sprawy na ostrzu noża czuła się niepewnie i popadła w milczenie, licząc na to, że to nie one ukształtują postawy wyborców. Stało się jednak inaczej. Film braci Sekielskich, który obejrzały w sieci miliony, zogniskował konflikt, który z jednej strony przyczynił się do wzrostu nastrojów antyklerykalnych, z drugiej zaś zmobilizował elektorat katolicki, przekonany, że ujawnianie skandalu pedofilii w Kościele to tylko kolejny pretekst do ataku na ich umiłowaną instytucję. W rezultacie spora część wyborców postępowych nie zagłosowała na zbyt letni i umiarkowany antyPiS, lecz na znacznie w tej kwestii radykalniejszą Wiosnę. Spora zaś część dotąd niegłosujących wyborców wiejskich pobiegła do urn, by „wsprzeć swojego proboszcza”. Powodem przegranej KE była więc wojna kulturowa: stan radykalizacji, w którym centrowa koalicja z zasady nie może czuć się dobrze.

Język wojny kulturowej nie jest naturalnym językiem liberalnego centrum, które tkwi, coraz bardziej miażdżone, między młotem lewicy walczącej o kulturową hegemonię a kowadłem prawicy odpowiadającej reakcyjną mobilizacją. Bo też w ogóle wojna nie jest układem domyślnym centrum, które od rewolucji woli reformę, naruszającą status quo powoli i mozolnie. Trudno powiedzieć, kto tak naprawdę pierwszy wymyślił zasady kulturkampfu: czy był to Antonio Gramsci, który nauczył lewicę walczyć w sferze symbolicznej, tworząc pojęcie hegemonii kulturowej? Czy może faszyzujący myśliciele ery Weimaru, którzy odwołali się do idei prostego człowieka i jego naturalnej ludowej mądrości. Od kiedy jednak nastąpiło to zwanie, walka o kulturę stała się wojną domową, która rozrywa społeczeństwa Zachodu od wewnątrz, coraz bardziej naruszając liberalny konsens oparty na prymacie społecznego pokoju.

Dziś, i w Polsce, i na świecie, dla sporej części lewicy i prawicy wojna domowa (jako rewolucja ścierająca się z coraz gwałtowniejszą reakcją) to ulubiony model polityczny. Tymczasem w bardziej umiarkowanym centrum, które ceni sobie pokój społeczny, znajdują się i konserwatyści, i postępowcy, jednoczy ich jednak formuła liberalna, czyli zasada poszukiwania porozumienia. Można rozmawiać o wszystkim – o aborcji, pedofilii księży, rozdziale Kościoła i państwa, prawach mniejszości – ale w taki sposób, by unikać skrajnych oskarżeń, bo te dehumanizują przeciwnika i z góry uniemożliwiają zawarcie jakiegokolwiek ugody, czyli niezbędnych regulacji prawnych. Kulturkampf, dokładnie odwrotnie, dąży do jak najszybszego odczłowieczenia adwersarza, który od razu staje się śmiertelnym wrogiem. Na ostatniej konwencji PiS Jarosław Kaczyński już nawet nie próbował zbudować żadnego argumentu wokół swojej wojennej narracji: od razu nazwał opozycję „siłami zła”, uciekając się do ostatecznej – bo teologicznej – formy wykluczenia, której logicznym następstwem może być już tylko fizyczna eliminacja.

Od kilku lat idea liberalizmu atakowana jest z prawa i z lewa: za kapitalizm z nieludzką twarzą, za kosmopolityzm, za lekceważenie

religii, a ostatnio także za ekologiczną katastrofę. Liberalizm okazuje się uniwersalnym chłopcem do bicia, na który łatwo zrzucić całą winę za zło świata, od kolonialnego gwałtu (lewica) po przymus wykorzenienia (prawica). Spośród tych krytyków liberalizmu mało kto jednak pamięta o tym, że tylko doktryna liberalna posługuje się językiem, który dąży do pokoju społecznego. Tam, gdzie liberalizmu zaczyna brakować, tam natychmiast wyrasta plemienny język wrogich sobie tożsamości, eskalujący przemoc symboliczną do ostatecznych granic, poza którymi przestaje być ona symboliczna i staje się całkiem realna.

Tam, gdzie liberalna zasada poszukiwania konsensu przestaje obowiązywać, język kulturkampfu podlega do wojny. To nie przypadek, że liberalizm wyłonił się po straszliwej traumie wojen religijnych: „Lewiatan” Thomasa Hobbesa, dzieło założycielskie liberalistów, opowiada o walce, jaką nowe tolerancyjne państwo musi stoczyć z Behemotem, uosabiającym fanatyzm wszelkiej maści radykałów. Tytułowy Lewiatan, biblijny smok morski, jest dla Hobbesa symbolem żywiołu wodnego, który gasi pożar wywołany przez fanatyków i zaprowadza społeczny pokój.

Polscy liberaliści mówili dotąd chętnie o „cieplej wodzie w kranie”, przedstawiając polską transformację jako przede wszystkim sukces w dziedzinie materialnej. Zapomnieli chyba jednak trochę o tym innym, bardziej symbolicznym użyciu wodnego elementu, jakim dla Hobbesa jest gaszenie pożaru wojny domowej: o języku, który nie likwiduje sporów, lecz pozwala wypowiedzieć je na sposób cywilizowany, gdzie słowo *civil* oznacza jednocześnie obywatela i człowieka ogłady, nieskłonego stawiać spraw na ostrzu noża i walić prosto z mostu, „jak jest”.

Mam jednak wrażenie, że to się zmienia – że opozycja nauczyła się, iż pomijanie milczeniem niewygodnych tematów narzucających przez radykałów z obu stron to strategia nieskuteczna. I teraz naturalnie sięga do mowy liberalnej, która pozwala wyartykułować sedno konfliktu, zarazem nikogo nie wykluczając z obywatelskiej wspólnoty. Zapowiedź Grzegorza Schetyny, że w ramach „szóstki” programowej koalicja zamierza doprowadzić do związków partnerskich, wydaje się dobrym zwiastunem tej przemiany. Akcentując pragmatyczną potrzebę zadbania o polskich obywateli z grupy LGTB, a jednocześnie powstrzymując się od wyrażania homofobii, przekaz ten gasi pożar emocji i skupia się na prawnym rozwiązaniu, którego celem jest stworzenie społecznego pokoju. Może więc wreszcie ci, którzy tak chętnie wyklinają liberalizm z prawa i lewa, rozumieją, że po kilku latach niszczącej wojny kulturowej jest on nam dziś potrzebny jak powietrze.

Agata Bielik-Robson – profesor filozofii w Polskiej Akademii Nauk oraz profesor Studiów Żydowskich na Wydziale Teologii Uniwersytetu w Nottingham. Mieszka w Warszawie i Nottingham.



Potęga i upadek I Rzeczypospolitej

450-lecie zawarcia unii lubelskiej

- Orzeł z Pogonią
- Dom wielu narodów
- Panorama religijna
- Wojny i bitwy
- Husaria
- Sarmatyzm
- Poczec królów i królowych
- Rody magnackie
- Szlachta, jej tytuły i herby
- Poczec hetmanów i prymasów

POLITYKA

P O M O C N I K H I S T O R Y C Z N Y

Nr 5/2019 Cena 25,99 zł (w tym 8% VAT) Indeks: 403652 ISSN: 2391-7717 • Wydanie II

Rzeczpospolita Obojga Narodów, w 450 lat od unii lubelskiej, czyli rzecz o latach potęgi i upadku republiki szlacheckiej, przez zacnych historyków podana.



124 strony

Szukaj w dobrych punktach sprzedaży prasy i na sklep.polityka.pl



Kryzys po anglosasku

Zaledwie sześć tygodni temu podczas wizyty w Londynie Donald Trump mówił o „najwspanialszym sojuszu, jaki widział świat”. Dziś pojawiają się opinie, że relacje amerykańsko-brytyjskie są w gorszym stanie niż podczas kryzysu sueskiego w 1956 r. W zeszłym tygodniu tabloid „Daily Mail” ujawnił tajną korespondencję ambasadora w USA **Kim Darrocha** z centralą, w której Brytyjczyk podsumowuje administrację Trumpa m.in. jako „nieudolną” i „chaotyczną”. Prezydent USA zareagował na Twitterze, określając Darrocha jako „bardzo głupiego” oraz „pompatycznego durnia”, co w zasadzie zakończyło misję ambasadora. Darroch zrezygnował jednak dopiero wtedy, gdy Boris Johnson, niemal pewny przyszły premier Wielkiej Brytanii, zapytany, czy broniłby ambasadora... odpowiedź przemilczał. W weekend w brytyjskiej prasie pojawiły się kolejne maile Darrocha, w których m.in. określa decyzję Trumpa o wycofaniu USA z umowy

nuklearnej z Iranem jako „akt dyplomatycznego wandalizmu”, motywowany wyłącznie faktem, że porozumienie podpisywał Barack Obama.

Darroch nie napisał nic odkrywczego, ale zwolennicy brexitu, w szczególności Johnson, muszą milczeć, bo ustawili Wielką Brytanię w roli petenta wobec Ameryki. Według nich nie ma obaw o przyszłość kraju, nawet po brexicie bez umowy, bo Londyn zaraz podpisze kilka dwustronnych umów handlowych, które uczynią z Wysp „Singapur na sterydach”. Perłą wśród umów ma być ta z Ameryką, którą obiecał im Trump. Dlatego puszczają mimo uszu kolejne zniewagi sojusznika. Np. gdy Trump pouczał Theresę May, jak prowadzić negocjacje brexitowe, a potem napisał, że „głupio postąpiła”, bo go nie posłuchała. Albo gdy tłumaczył Brytyjczykom, że najlepszym przywódcą dla nich będzie Nigel Farage. Obecny kryzys w relacjach Londynu i Waszyngtonu jest więc o tyle niepokojący, że w kryzysie sueskim przynajmniej o coś chodziło.

Euro przeży muskuły

Euro umacnia się jako druga waluta światowa – głosi doroczny raport Europejskiego Banku Centralnego. W ciągu roku o 1,2 punkta wzrosła wielkość rezerw trzymanych w euro w bankach centralnych; teraz stanowi 20,7 proc., przed jensem (5,2 proc.), funtem szterlingiem (4,43 proc.) i juanem (1,89 proc.). Ciągłe króluje dolar (61,7 proc.), ale to najmniejszy udział od 20 lat, odkąd powstało euro. Wojny handlowe Donalda Trumpa, narzucane jednostronnie sankcje i ogólna nieprzewidywalność powodują, że banki centralne starają się dedolaryzować dług publiczny; korzysta na tym głównie euro.

W drugiej połowie 2018 r. Rosja sprzedała 100 mld dol. swoich długów i odkupiła równowartość 90 mld w euro i jenach. Dziś już 39 proc. rosyjskich rezerw trzymanych jest w euro, 27 proc. w dolarach i 17 proc. w juanach.

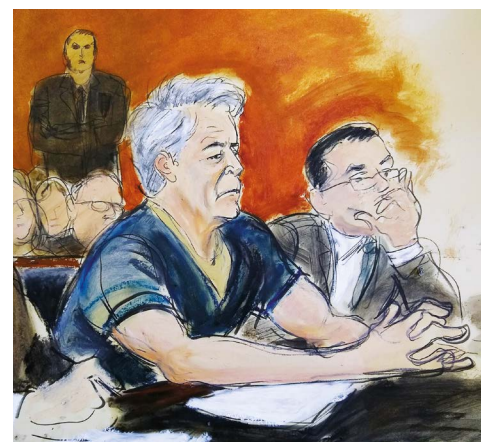
Dolar ma jednak wciąż wiele zalet, których nie ma euro. Jest wszędzie łatwo wymienny, oferuje szereg możliwości lokat i inwestycji; stoi za nim określony budżet i jedno państwo. 19 państw strefy euro nie ma wspólnego budżetu, za to często odmienne interesy i rozdrobnione rynki finansowe. Bez wzmocnienia wspólnych instytucji nie ma mowy o pogoni za dolarem.

Sylwetka nowej prezes EBC Christine Lagarde s. 44.

Epstein i stare grzechy

Sprawa Epsteina wraca po latach i pogrąży kolejnych polityków.

Posadę stracił kolejny członek gabinetu Donalda Trumpa, jego sekretarz pracy, Alexander Acosta. 11 lat temu, jako prokurator federalny na Florydzie, ocalał od długoletniej kary więzienia oskarżonego o liczne przestępstwa seksualne nowojorskiego finansisty multimilionera **Jeffreya Epsteina**. Epstein słynął ze sprowadzania 14-letnich dziewcząt do swych luksusowych rezydencji na Manhattanie, w Palm Beach i na wyspie na Karaibach, zwanej przez miejscowych „wyspą pedofila”,



gdzie na seksimpreszach z udziałem prominentów biznesu i polityki był podobno Donald Trump. Acosta zaaranżował umowę z adwokatami oskarżonego, bez wiedzy jego ofiar, na podstawie której Epstein dostał tylko 18 miesięcy i w czasie odbywania kary mógł codziennie wychodzić z więzienia i pracować w swoim biurze.

Sprawa potwierdza, że prawo w USA bywa często pobłażliwe dla bogaczy z koneksjami na szczytach władzy, którym uchodzi nieraz na sucho to, za co dużo surowiej karani są zwykli obywatele. Acosta oświadczył, że zrezygnował ze stanowiska tylko dlatego, aby afera nie odwracała uwagi od sukcesów administracji Trumpa. A tak naprawdę, aby odwrócić uwagę mediów od kompromitującej znajomości prezydenta. Nie ma wyrzutów sumienia, ponieważ – jak tłumaczył – deal z obrońcami był jedynym sposobem zapewnienia, że oskarżony w ogóle zostanie uznany za winnego, jako że dziewczęta bały się zeznawać, a sąd wątpił w wiarygodność tych, które zeznawały.

W całej historii optymistyczne jest tylko to, że Epstein został znowu aresztowany i tym razem, w epoce #MeToo, prokuratorzy raczej nie będą mu pobłażać.



Sługa ma poparcie narodu

Partia Zelenskiego może nie tylko wygrać wybory parlamentarne 21 lipca, ale i sformować samodzielnią większość w Radzie Najwyższej.

Według pracowni Rejting (badanie z 10 lipca) na partię Sługa Narodu Wołodymyra Zelenskiego zamierza głosować 47 proc. Ukraińców, a do parlamentu wejdą jeszcze cztery ugrupowania: Opozycyjna Platforma – Za Życie, powstała z rozpadu prorosyjskiego Opozycyjnego Bloku (12 proc. poparcia), Europejska Solidarność b. prezydenta Poroszenki (8,2 proc.), proeuropejski Gołos Swiatosława Wakarczuka, lidera grupy muzycznej Okean Elzy (6,6 proc.), oraz Batkiwyszczyna Julii Tymoszenko (6,4 proc.).

Popularność partii Zelenskiego to efekt wygranej w wyborach prezydenckich (73 proc. w II turze) i poszukiwania nowych twarzy w ukraińskiej polityce. Zelenski ogłosił otwarty nabór na listy wyborcze, zaprosił członków swojej ekipy i ekspertów oraz nieskorumpowanych przedstawicieli biznesu. Na czele listy stanął Dmytro Razumkow, doradca polityczny Zelenskiego. Hasłem kampanii Sługi Narodu, prowadzonej głównie w mediach społecznościowych i telewizji, jest odsunięcie skompromitowanego establishmentu i Ukraina bez oligarchów. Nie uniknięto jednak obecności osób związanych z poprzednim systemem, a oligarcha Ihor Kołomojski kontroluje trzydziestoosobową grupę kandydatów na listach krajowych i w okręgach jednomandatowych. W liczącym 450 miejsc parlamencie deputowani są wybierani w systemie proporcjonalnym – i większościowym w okręgach jednomandatowych.

Twarzami Platformy – Za Życie są tymczasem sami znani oligarchowie i politycy: Jurij Bojko, Dmytro Firtasz i Wiktor Medwedczuk. To oferta dla przeciwników kursu prozachodniego. Raczej parlamentarna opozycja niż partner do koalicji. Ławy opozycji zajmie też Europejska Solidarność Poroszenki. Były prezydent stanął na czele listy, liczy na elektorat głęboko antyrosyjski, religijny, mocno patriotyczny i wokół takich haseł buduje kampanię.

Wakarczuk także kieruje kampanią do zmęczonych i oczekujących proeuropejskich zmian. Kolejny w polityce przedstawiciel sceny rozrywkowej będzie zapewne potencjalnym koalicjantem Zelenskiego. Umizgi czyni Julia Tymoszenko, zwłaszcza gdy w grę wchodziłaby obietnica fotela premiera. Jednak o prawdziwym obliczu nowego parlamentu zdecydują zwyczajnie w okręgach jednomandatowych, gdzie liczą się głównie pieniądze, a nie ideologia.

Kraj bez kotów?

Nowa Zelandia ponad wszelkimi podziałami politycznymi tępi ssacze drapieżniki, chce się od nich uwolnić do połowy wieku. W walce uczestniczy rząd, samorządy, organizacje pozarządowe i polspolite ruszenie obywateli. Do stosowanych od lat i budzących niegasnące kontrowersje trutek chemicznych dołożono ostatnio m.in. masowe zastawianie pułapek na gryzonię i łasicowate. Na jednym z przedmieść stołecznego Wellington stanęło ich ostatnio 6 tys., w okolicy ma je co trzecie gospodarstwo domowe. Właśnie przyjęto plan zupełnego oczyszczenia z drapieżników Stewart, trzeciej wyspy kraju. Największy społeczny opór budzą pomysły na przyszłość kotów domowych, od odławiania tych waleśających się po terenach przyrodniczo cennych, przez przymusową sterylizację i poddawanie eutanazji tych niezaczipowanych, aż po zupełny zakaz hodowli.

Wszystkie ssaki lądowe zostały na wyspy Nowej Zelandii przywleczone przez człowieka. Lokalna unikalna fauna ewoluowała bez kontaktu z szybkimi zwierzętami polującymi na ziemi i drzewach, stąd tyle tam nietotów, jak kiwi czy papugi kakapo. Nie czując lęku ani nie mogąc odlecieć, stawały się łatwą ofiarą futrzastych przybyszów. Szereg gatunków nie przetrzymało spotkania już ze szczurami polinezyjskimi, które przyplęły z Maorysami w XIII w. Później biali koloniści przywieźli koty, a także m.in. hodowane na futra gronostaje, łasice, fretki i oposy. Całe to towarzystwo wytwarza taką presję, że stawia pod znakiem zapytania przyszłość zdecydowanej większości nowozelandzkich ptaków. Jeszcze 80 lat temu w lasach archipelagu żyło 5 mln kiwi, dziś 50, może 60 tys., i ich liczba nadal maleje.

Teraz begpackerzy

Od lat byli **backpackerzy**, młodzi ludzie z plecakami przemierzający świat, głównie Azję, w poszukiwaniu przygody i nowych doświadczeń, często na rocznym urlopie od studiów. Backpackerzy, jawnie kontestujący przemysł turystyczny, unikający samolotów, podróżujący lokalnym transportem, poza utartymi szlakami, żyjący życiem lokalnym, obrośli w literaturę i stworzyli niepisany kodeks, co można po drodze (a czego nie). Teraz pojawiła się nowa odmiana, która ten kodeks podważa: **begpackerzy**, turyści – żebracy. Za punkt ambicji mają, aby podróżować bez własnych środków, żebrząc na ulicach, sprzedając pocztówki, oferując „przytulenia”, plądrując śmietniki przy marketach. Zrobił się z tego rodzaj rywalizacji w internecie: kto zmyślniej, dalej i taniej.



Zupełnie nie podoba się to gospodarzom, bo poza wszystkim turysta jest po to, aby przynosił dochód. Tajlandia zaczęła egzekwować na granicy obowiązek posiadania 20 tys. bathów (ok. 2,5 tys. zł) na osobę i bilet powrotny. Indonezja też egzekwuje bilet, a na Bali, wyspie opanowanej przez begpackerów, zaczęto ich właśnie wyłapywać i odstawać do konsulatów. Setyo Budiwardoyo, z ministerstwa imigracji (cytowany przez portal Detik), informuje, że rzecz dotyczy głównie młodych Australijczyków, Brytyjczyków i Rosjan. W Singapurze, który niezwykle pilnuje porządku, stali się zjawiskiem szokującym, bo tu zebrze się z desperacji i skrajnej potrzeby, a przyjemność podróżowania taką nie jest. Facebook i Instagram obszernie dokumentują wyczyny begpackerów – w Wietnamie, Indiach, Hongkongu. Ma to być element zbiorowego zawstydzania, ale żywioł begpackerstwa trudny jest do okiełznania.

Jestem tylko Ukrainką pracującą w hotelu



© GETTY IMAGES

Kobiety traktują nas jak powietrze, mężczyźni często proponują nam seks, a dzieci uważają za służące, którym nie należy się szacunek – opowiada Ukrainka, która od czterech lat pracuje na polskim wybrzeżu.

KATARZYNA ZDANOWICZ: – Dlaczego nie chcesz się bliżej przedstawić?

OKSANA: – A z czego będę żyć? Przecież jeżeli menedżerowie hotelu mnie zidentyfikują, nigdzie w Polsce nie dostanę pracy. Nad Bałtykiem od maja do września zarabiam więcej niż moje koleżanki na Ukrainie przez rok. Długo się zastanawiałam, czy z tobą w ogóle rozmawiać. Przełamałam się, bo zależy mi, żeby ci, którzy jadą wypocząć do takich hoteli jak ten, w którym pracuję, przeczytali ten wywiad i inaczej spojrzeli na Ukraińców. Nie ma możliwości, żeby nas nie spotkali. Jesteśmy już wszędzie, i w obskurnych ośrodkach, motelach, pensjonatach, i w ekskluzywnych hotelach cztero- czy pięciogwiazdkowych. Bez Ukrainka nie przetrwa żadna nadmorska noclegownia.

Skąd takie przekonanie?

Ekonomia i obserwacja. Pierwszy raz do pracy w Polsce przyjechałam w maju 2015 r. Byłam wtedy nauczycielką w technikum gastronomicznym. Właściciel polskiego luksusowego hotelu wpadł na pomysł, żeby podpisać umowę z naszą szkołą i ściągnąć do siebie uczniów gastronomiki na praktyki. Najlepsza i najtańsza siła robocza. Umowa przewidywała, że jedna grupa przyjedzie



Oksana – to pseudonim – ma 48 lat, ukończyła historię na uniwersytecie w Kijowie i filologię polską na Uniwersytecie Lwowskim. Jej matka jest z pochodzenia Polką, ojciec – Ukraińcem. Ma dwóch synów, mieszkają i studiuje w Kijowie, jeden na politechnice, drugi na uniwersytecie. Do niedawna pracowała jako nauczycielka historii oraz udzielała korepetycji z polskiego, dorabiała też jako tłumaczka. Od 2015 r. cztery miesiące w roku pracuje w hotelach nad Bałtykiem. W jednym z nich się spotkałyśmy i przeprowadziłyśmy tę rozmowę.

na kilka miesięcy, dostaną kwaterunek, jedzenie, jakieś kieszonkowe, zarobi też szkoła. I tak w kółko – kolejne grupy co pół roku. Teoretycznie idealny układ dla wszystkich.

A praktycznie?

Ulokowali naszych uczniów w mikroskopijnych pokojach na piętrowych łóżkach, do jedzenia dali resztki, które zostały po gościach. Praca nawet 12 godzin dziennie na zmywakach, w kuchni, co bardziej reprezentacyjni – na sali restauracyjnej jako kelnerzy. Tania, milcząca siła robocza.

Nie buntowali się?

A Polacy wyjeżdżający pracować na Zachód w latach 80. się buntowali? Tak samo jak my dziś wykonywali robotę, którą Niemiec czy Austriak nie chciał się pobrudzić, i to za połowę stawki. Jestem z pochodzenia Polką, uczyłam języka polskiego i znam historię Polski, i tę odległą, i najnowszą. Przekładałam tamte wasze doświadczenia na nas, Ukraińców.

I co ci wychodzi?

Tak jak wy pokornie wykonywaliście wtedy polecenia pana Schmidta, tak my wykonujemy wasze. Cel mamy ten sam: przywieźć do domu pieniądze, żeby godnie żyć. Wracając do moich

uczniów, wizytowałam hotel z ramienia szkoły. Wypłakiwali mi się w rękaw, ale absolutnie nie chcieli, żeby jakiegokolwiek żale docierały do dyrekcji czy już, broń Boże, polskich właścicieli hotelu. Wychodzili z założenia, że kilka miesięcy wytrzymają. Jest coś takiego zakodowanego w mentalności zarobkowego imigranta, nawet ucznia, który pracuje przez kilka miesięcy 700 km od domu, że nie można przyznać się do słabości, wrócić z niczym. My na zachodniej Ukrainie jesteśmy dużo bardziej imigranckim narodem niż wy, Polacy. Was wyjechało do pracy może milion, może dwa, a u nas puste są całe wsie, znam wioski, w których zostali tylko dziadkowie i dzieci. Ludniej robi się tylko w święta i wakacje.

Kiedy wpadłaś na pomysł, żeby rzucić szkołę i pracować w polskich hotelach?

Kiedy wyszłam wściekła na plażę, żeby odreagować, jak traktują tutaj moich uczniów. Normalną reakcją powinien być bunt, twarda rozmowa z dyrekcją, że nie wszystkie zapisy umowy są przestrzegane, szczególnie jeśli chodzi o czas pracy, kwaterunek itp. Tylko taka rozmowa by nic nie dała. Imigrant w takiej sytuacji obniża poprzeczkę i specjalnie mu to nie przeszkadza. Dyrekcja szkoły i tak nie chciałaby ze mną na ten temat nawet rozmawiać – im układ z polskim hotelarzem bardzo odpowiadał. Do tego sami uczniowie głośno nie potwierdziliby tego, co mówili mi po cichu. Sytuacja bez wyjścia. Kiedy szykowałam się do powrotu, jeden z polskich menedżerów, z którym miałam kontakt, poprosił mnie do swojego gabinetu i walnął bez ogródek: „Po co chcesz zmieniać świat, jak i tak nic z tego nie wyjdzie? Walcz o siebie. W dzisiejszych czasach masz skarb – równie dobrze mówisz po ukraińsku i po polsku, tam mieszkasz, tutaj możesz zarabiać. Rzuć tę szkołę, w sezon dostaniesz u nas dużo więcej niż u siebie w rok”. Usiadłam na piachu i myślałam: „Może on ma rację? Nie tylko zarobię, ale też pomogę innym Ukraińcom, będę ich powiernikiem”.

Jak zareagował mąż, dzieci?

Jestem rozwiedziona, dzieci już studiuje i mieszkają w Kijowie, tym bardziej potrzebuję pieniędzy. Mimo że jestem humanistką, w takich chwilach decydujący głos ma kartka i długopis, bilans zysków i strat. Jako nauczycielka historii zarabiałam w przeliczeniu ok. 150 dol. miesięcznie, 1,8 tys. dol. rocznie, czyli w przeliczeniu jakieś 6,7 tys. zł. W polskim hotelu mogłabym miesięcznie mieć 2,5 tys. zł, czyli w pięć miesięcy zarobiłabym dwa razy tyle, ile dotąd przez rok. A przecież poza sezonem na Ukrainie wciąż mogę dorobić jako tłumaczka języka polskiego, teraz tam mamy żniwa, polskie firmy wciąż szukają ludzi znających oba języki. Zwinęłam kartkę do kieszeni i zdecydowałam, że spróbuję. Menedżer bardzo się ucieszył.

Co zaproponował?

Etat kelnerki barmanki, plus liniowego oficera do spraw polsko-ukraińskich. Pierwszy miesiąc – 2 tys. zł na rękę, łóżko w trzyosobowym pokoju, trzy posiłki dziennie, karta polska do telefonu komórkowego, jedna niedziela wolna co cztery tygodnie. Jak się sprawdzę, 500 zł podwyżki.

Ile godzin pracy?

Teoretycznie nie więcej niż 10, ale w praktyce wychodzi między 12 a 16. Kiedy przychodzę do pokoju, na korytarzu stoi już ogonek Ukraińców z różnymi problemami. Ten nie potrafi włożyć polskiej karty do komórki, tamten nie umie przeczytać ulotki z lekarstwa itp. Nauczyłam się, że w Polsce nie śpię dłużej niż pięć godzin.

Opowiedz, jak wygląda twój dzień.

Kiedy wy, Polacy wypoczywający w naszym hotelu, słodko śpicie, my, Ukraińcy, od godziny trzeciej, czwartej uwijamy się jak w ukropie. W dużych hotelach w kuchni o trzeciej tętni już życie. Ja zaczynam trochę później – szybko zostałam, może to górnołotne słowo, kimś w rodzaju zmianowej, więc przed szóstą muszę być na sali i sprawdzić, czy wszystko się zgadza. O siódmej rozpoczyna się śniadanie, więc ukraińska drużyna musi ►